

HISTORIA – DZIŚ

TEORETYCZNE PROBLEMY WIEDZY O PRZESZŁOŚCI

redakcja

Ewa Domańska

Rafał Stobiecki

Tomasz Wiślicz

Kraków

ANDRZEJ PACZKOWSKI

Historyk dziejów najnowszych wśród źródeł¹

Moje uwagi nie będą miały charakteru metodologicznego ani teoretycznego. Wynikają one po prostu z praktyki badawczej, są więc raczej pewnymi propozycjami niż ugruntowanymi przekonaniami. Pierwszym problemem, na który chciałbym zwrócić uwagę, to określenie momentu, do kiedy mamy do czynienia z historią, od kiedy jest już tylko „współczesność”. Sądzę, że należy posługiwać się w miarę możliwości zamkniętymi epokami, chociaż pojęcie „epoka” nie jest zbyt precyzyjne. Odległość w czasie nie zawsze jest jednoznaczna. Można na przykład zapytać: jaki był stosunek Tukidydesa, autora księgi uważanej za dzieło klasycznej historiografii, do wojny peloponeskiej opisywanej w tej księdze². Odpowiedź jest jasna – był jej uczestnikiem. A zatem uprawiał historię jako uczestnik wydarzeń, a mimo to i mimo zastrzeżeń wobec tego dzieła, uważa się, że jest to dzieło historyczne, czyż nie? Dzieje się tak dlatego, że nawet uczestnik wydarzeń może nabrać odpowiedniego dystansu od tego, co przeżył i w czym uczestniczył tak, żeby móc to opisywać.

Osobiście staram się szukać takiej granicy, za którą „kończy” się historia. Nie da się, jak sądzę, takiej granicy wyznaczyć stałym terminem, jakimś ustalonym okresem. Niektórzy sądzą, że musi minąć generacja, to znaczy dwadzieścia lub trzydzieści lat. Inni uważają, że granicę wyznacza śmierć ostatniego świadka wydarzeń, tj. powstanie sytuacji, w której nikt nie może już opowiedzieć historii przez niego samego przeżytej i zaprzeczyć temu, co napisze historyk: „a ja tam byłem i wyglądało to zupełnie inaczej, niż pan twierdzi”. Opowiadałem się za tym, aby taką granicą był koniec jakiegoś dającego się

¹ Zredagowany i autoryzowany tekst wykładu wygłoszonego przez Andrzeja Paczkowskiego w Instytucie Historii UAM w Poznaniu 22 stycznia 2009 roku. Transkrypcja nagrania: Jan Kwiatkowski.

² Tukidydes (Thucydides), *Wojna peloponeska*, tłum. K. Kumaniecki, Wrocław 1991.

wyróżnić wydarzenia lub ciągu wydarzeń, przeminięcie, zakończenie, jakieś zjawiska. Oczywiście, nigdy nic ostatecznie się nie kończy. Ale na ogół jest moment, w którym następuje zmiana tak znacząca, że można uznać, że jakaś „epoka” czy jakieś wydarzenia zostały zamknięte. Kiedy piszę o historii najnowszej Polski jako o czymś przeszłym, przyjmuję za taką granicę rok 1989. Czyli to, co dzieje się po 1989 roku jest już współczesnością. We Francji określa się to jako *histoire immédiate*, czyli historia natychmiastowa, inaczej mówiąc historia, która wciąż jeszcze się dzieje, a więc aby „coś” stało się historią, musi „przestać dziać się”. Wyznacznikiem takiej cezury jest np. zniknięcie jakiejś formacji ustrojowej. Rzecz jasna, że owa zakończona już epoka zawsze będzie miała jakieś następstwa, mające zresztą na ogół tendencję wygasającą. Przyjmuję jednak, że należą one już do następnej epoki, co nie znaczy, że nie mogą nam czegoś powiedzieć o tej, która minęła.

Oczywiście dla różnych krajów czy regionów cezury wydzielające historię najnowszą są różne. Dla Europy Środkowo-Wschodniej można przyjąć, że – podobnie jak dla Polski – jest to rok 1989. Dla krajów postsowieckich, np. dla Rosji, zapewne rok 1991. Niektórzy uważają, że dla Stanów Zjednoczonych „cezurą końca epoki” jest rok 2001, co jednak wydaje mi się niezbyt adekwatne. W przypadku Polski problem jest chyba prosty: epoka PRL-u zaczęła się w 1944 roku i trwała do 1989. To, co było wcześniej, było inną epoką i to, co było/jest później, to też inna epoka. Przy szukaniu takiej granicy należy jednak dobrze pamiętać, że wszystkie cezury są mniej lub bardziej umowne, gdyż tak naprawdę historia w ogóle się nie kończy, czyli – jak to kiedyś napisał Faulkner – „przeszłość nigdy nie mija” (*the past never pass*), przeszłość trwa, gdyż zawsze coś po niej zostaje. Całe to rozważanie jest zresztą abstrakcyjne, gdyż nie przynosi żadnych wniosków o charakterze warsztatowym.

Natomiast inny problem, który chcę dziś poruszyć, wiąże się bezpośrednio z technikami i procedurami badawczymi. Jest to specyfika historii najnowszej związana z odmiennością źródeł, którymi posługuje się badający ją historyk, a którymi nie może posługiwać się historyk dziejów dawniejszych. Otóż tylko historyk dziejów najnowszych może mieć do czynienia z tak zwanym źródłem wywołanym. To znaczy, że sam może tworzyć – czy raczej współtworzyć – źródło, rozmawiając z kimś, kto uczestniczył w jakimś wydarzeniu, i zapytać go, jak ono przebiegało, czy o to, co i dlaczego coś zrobił (lub nie zrobił). Historyk zajmujący się okresami dawniejszymi nie ma takiej możliwości. Żyje – można powiedzieć – wśród źródeł martwych, już „wyprodukowanych” i nie może pomóc w stworzeniu nowego źródła. Możliwość stosowania takich procedur jest bardzo ważnym wyróżnikiem, może nawet wyróżnikiem decydującym: historia najnowsza zaczynałaby się więc w sytuacji, w której można odwołać się do źródła wytworzonego przez historyka. Jest to jej duży plus, istnieją jednak poważne problemy z krytyką źródła, które się samemu wywołało, albo które powstało dzięki pracy innego historyka i zostało przez niego udostępnione.

Muszę przyznać, że jestem sceptycznie nastawiony do źródła wywołanego, to jest do relacji. Może dlatego, że na początku mojej pracy naukowej po prostu sparzyłem się na tym. Kiedy pisałem pracę doktorską o działalności

prasowo-wydawniczej ruchu ludowego w okresie międzywojennym żyła jeszcze osoba, która w latach dwudziestych była sekretarzem redakcji tygodnika „Piast” wydawanego w Krakowie przez Polskie Stronnictwo Ludowe. Pan ten zgodził się na udzielenie relacji, więc pojechałem do niego z koszarnej wielkości magnetofonem i nagrałem prawie dwie godziny jego opowieści. Interesowały mnie sprawy, które sekretarz redakcji powinien znać: jaki był nakład pisma, ile kosztował papier, jakie były honoraria itd. Chciałem się dowiedzieć nie tego, co pisano w owej gazecie, bo to sam mogłem przeczytać, ale tego, czego w gazecie nie było. Dwa czy trzy tygodnie później byłem w archiwum i przeglądałem dokumenty Rewizyjnego Związku Spółdzielni RP, gdyż wydawcą „Piasta” była spółdzielnia wydawnicza, która co roku musiała składać w centrali sprawozdania, bilanse etc. To, co znalazłem w archiwum, miało się nijak do tego, co opowiadał mi sekretarz redakcji. Mówił on np., że nakład wynosił pięćdziesiąt tysięcy, a w sprawozdaniach zapisano, że dwanaście tysięcy; mówił, że zysk był taki a taki, a z dokumentów wynikało, że rok w rok parlamentarzyści stronnictwa składali się, żeby pokryć deficyt. Stwierdziłem wówczas, że relacje można zbierać wtedy, gdy istnieje możliwość konfrontowania ich, a także – co ważne – kiedy dysponuje się już jakąś wiedzą o badanym przedmiocie. Oczywiście każdy historyk wie, że dokumenty należy ze sobą konfrontować, ale czasami zapomina się o tym, że także relacje należy konfrontować. Później jeszcze parokrotnie używałem relacji jako źródła, ale w innym nieco charakterze. Chodziło raczej o odtworzenie pewnej sytuacji, niż o ustalanie samych faktów. Przy takim zamiarze lepiej chyba stworzyć sytuację, w której kilka osób – często w zupełnie odmienny sposób – będzie relacjonowało jakieś wydarzenie. Ponieważ było to duże przedsięwzięcie, robiłem to z kolegami przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych. Zorganizowaliśmy dwie konferencje typu *oral history*. Jedna dotyczyła Stanu Wojennego (w Jachrance w 1997 r.), a druga Okrąglego Stołu (w Miedzeszynie w 1999 r.), obie z udziałem czołowych uczestników tych wydarzeń. Chodziło nam jednak raczej nie o ustalenie jakichś konkretnych faktów (choć o to także), ale o doprowadzenie do bezpośredniej konfrontacji uczestników, o „wywołanie” ich pamięci i o próbę zrozumienia, jakie motywy nimi kierowały.

Nikomiu nie można zakazać wywoływania, to jest tworzenia, źródła. Każdy, kto zajmuje się historią najnowszą i ma możliwość wykorzystania relacji świadka wydarzeń, powinien z tego korzystać. Czy po to, by skonfrontować źródło archiwalne, które posiada, czy też dlatego, że nie ma innego źródła, bo przecież często i tak się zdarza. Jednak wszyscy, którzy zajmują się nie tylko faktografią i opisywaniem przeszłości, lecz także refleksją metodologiczną czy zastanawianiem się nad stosunkiem do przeszłości, dobrze wiedzą, że istnieje zasadnicza różnica między „pamięcią” i „historią” i to zarówno w skali zbiorowości, jak i w skali indywidualnej. Przypomina to problem, który z dużą gwałtownością wybuchł dwa lata temu we Francji, kiedy znani historycy zaprotestowali przeciwko temu, by parlament uchwalał ustawy dotyczące historii, w dodatku tworzone pod naciskiem jakichś grup pamięci (Ormian, Żydów itd.). Od dłuższego czasu mamy do czynienia z tym, że jakaś grupa – etniczna, wyznaniowa, terytorialna, demograficzna (seksualna) – do-

maga się, by jej pamięć została uznana za historię. Podobnie bywa z pojedynczą osobą: ktoś, kto nam opowiada, jak walczył w powstaniu warszawskim, chce, żebyśmy jego relację uznali za opowieść o powstaniu jako takim i opisywali je przez pryzmat tego, jak on to powstanie widział. Jeśli więc decydujemy się używać źródła wywołanego, należy zdawać sobie sprawę, że jego krytyka jest bardzo trudna. Nieraz bowiem u składających relacje w grę wchodzi zakorzenione stereotypy, obrazy nakładające się na przeszłość przez całe lata po opisywanym wydarzeniu, przez lektury, opowiadania innych, nawet czynniki psychiczne lub wręcz patologie. Świetne monografie konspiracji niepodległościowej z pierwszych lat po drugiej wojnie światowej często oparte są na relacjach uczestników wydarzeń, których nie ma z czym konfrontować, a przecież zdarza się, że zawierają one informacje o czymś, o czym składający je dowiedzieli się znacznie później, a nie wtedy, kiedy wydarzenia miały miejsce.

Z moją niedawno wydaną książką o Józefie Światło miałem podobny problem³. Otóż jest niewiele relacji o jego działalności w 1945 roku, kiedy był współpracownikiem sowieckich grup operacyjnych walczących z Armią Krajową. Jeżeli jest gdzieś wymieniony, to jako – mówiąc ogólnie – zbrodniarz. W jednym z opublikowanych wspomnień osoba opisująca podaje jego wygląd. Szkopuł w tym, że jest to obraz nie z roku 1945, ale zgodny ze zdjęciami z 1954 r., znanymi z książki Błażyńskiego *Mówi Józef Światło*⁴. Ów pamiętnikarz opisuje Światła jako niskiego, grubego, z obwisłymi policzkami, ale ze zdjęć znajdujących się w archiwach wiemy, że w 1945 roku miał twarz pościąglą i wygląda na to, że był szczupły. Czy zatem musimy zakwestionować wiarygodność świadka i całość jego relacji, gdyż skoro myli się w jednej sprawie, może mylić się też w innych, takich, których nie możemy zweryfikować? Zwracam zatem uwagę, że zajmując się historią najnowszą, jesteśmy skazani na konieczność rozstrzygania o wierności pamięci i o powodach, dla których została ona zdradzona lub przekształcona. Historyk zajmujący się starożytnym Rzymem nie ma takich kłopotów.

W książce Jarosława Marka Rymkiewicza *Kinderszenen* mamy do czynienia z innym nieco wariantem problemu świadka⁵, który występuje na poziomie ustalania nie motywów czy intencji, ale prostych faktów. Można to nazwać „efektem *Rashômon*”, od tytułu filmu Kurosawy⁶. Film opisuje wydarzenie, w którym uczestniczyły cztery osoby, Kurosawa tworzy w nim cztery różne narracje, bo każdy uczestnik inaczej je przedstawia. Czy i jak na podstawie czterech różnych opowiadań można odtworzyć, jak rzeczywiście coś przebiegało?

Jest stare powiedzenie prawnicze: „Iżę jak naoczny świadek”. Nie chodzi o to, że świadek kłamie, ale, że opowiada to, co widział, a przecież nie musiał

³ A. Paczkowski, *Trzy twarze Józefa Światły. Przyczynek do historii komunizmu w Polsce*, Warszawa 2009.

⁴ Z. Błażyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940–1955*, Londyn 1985, 1986; Kraków 1990; Warszawa 2003.

⁵ J.M. Rymkiewicz, *Kinderszenen*, Warszawa 2008.

⁶ *Rashômon*, reż. A. Kurosawa, 1950.

widzieć wszystkiego. Rymkiewicz próbuje odtworzyć przebieg znanego zdarzenia w czasie powstania warszawskiego: Niemcy podrzucili (dostawili) na teren zajęty przez powstańców rodzaj czołgu, który był wyładowany materiałami wybuchowymi, i kiedy powstańcy i ludność cywilna zgromadziła się dookoła, spowodowali detonację. Była to jedna z największych masakr w czasie powstania. Rymkiewicz starannie zebrał wszystkie opublikowane relacje na ten temat. Wynika z tego kompletny chaos. Jedni piszą, że czołg jechał z północy na południe, drudzy, że ze wschodu na zachód; jedni, że był duży, drudzy, że był mały; że było na nim dwieście osób, albo że były dwie osoby. Na tej podstawie nie sposób dokładnie opisać wydarzenia, poza tym, że miało ono miejsce, że wybuchł czołg i spowodował masakrę. Na pewnym poziomie pisania o historii wystarczy stwierdzić, że był taki epizod w czasie powstania warszawskiego, w którym czołg-pułapka spowodował śmierć prawdopodobnie około tysiąca osób, a z pewnością kilkuset. Ale jeżeli chcemy te informacje wprowadzić w narrację obejmującą wydarzenia np. tego jednego dnia lub przedstawić podstępny stosunek Niemców, jesteśmy bezradni. Choć Rymkiewicz korzystał nie tylko ze spisanych relacji i wspomnień, ale także ze źródeł *sensu stricto*, m.in. z raportu napisanego przez jednego z oficerów Armii Krajowej, tak naprawdę nic z tego nie wynika⁷.

Większość z państwa miała pewnie do czynienia z sytuacją, że istnieją wykluczające się świadectwa i nie ma sposobu, by je ze sobą skleić. Co zatem robić? Oczywiście, jeżeli pisze się książkę, i ma się dużo miejsca, to można wszystko – tak jak zrobił to wielkim kunsztem Rymkiewicz – „rozpisać”, poświęcić cały rozdział różnym narracjom o jednym wydarzeniu. Najczęściej jednak nie ma takiej możliwości i nie pozostaje nic innego niż „zsyntetyzowanie”, to znaczy, potwierdzenie, że samo wydarzenie miało miejsce i stwierdzenie, że nie da się go w sposób wiarygodny i jednoznaczny opisać. Takich przypadków jest mnóstwo. Wróć jeszcze raz do książki o Józefie Światło. Z wielu punktów widzenia (których nie będę tu wskazywał) jednym z ważniejszych pytań jest „dlaczego Światło uciekł z granicę?”. Istnieją co najmniej cztery hipotezy. Jedne mają lepsze podstawy źródłowe czy logiczne, inne gorsze. Na szczęście pisałem książkę i mogłem je wszystkie przedstawić, wskazując na tę, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Ale pewne jest tyle, że 5 grudnia 1953 roku, we francuskiej strefie okupacyjnej Berlina, Światło oddał się w ręce lokalnej policji i poprosił, by go przekazano Amerykanom. Natomiast dlaczego to zrobił, prawdopodobnie nigdy z całą pewnością nie będziemy mogli powiedzieć.

Historyka dziejów najnowszych może pocieszać to, że koledzy zajmujący się dziejami dawniejszymi mają nieustannie do czynienia z podobnymi sytuacjami i to na poziomie faktów, a nie motywów (jak w przypadku Światły). Na pewno była bitwa pod Salaminą i są opisy tej bitwy, ale nie bardzo wiadomo, ile rzeczywiście okrętów, wiosłarzy i żołnierzy brało w niej udział, czy wiatr zmienił się, jak to opisuje jeden autor, ale inny nie wspomina o zmianie kierunku wiatru.

⁷ Być może sprawę definitywnie wyjaśnia Łukasz Mieszkowski w: *Tajemnicza rana. Mit czołgu-pułapki w powstaniu warszawskim*, Warszawa 2014.

Niepewność jest zatem w historii rzeczą naturalną i trzeba się z tym pogodzić. Musi się z tym pogodzić nie tylko osoba badająca, lecz także czytelnik.

Następnym problemem, z którym boryka się historyk dziejów najnowszych, jest ogrom źródeł i konieczność ich selekcji. Uczono mnie, że obowiązkiem historyka jest zebrać wszystkie dokumenty dotyczące sprawy, o której pisze. Oczywiście, nigdy nawet w przypadku dawnych epok, nie było takiego komfortu, by ktoś mógł powiedzieć: „już wszystko zebrałem, na pewno żadnego innego dokumentu, żadnego innego dowodu nie ma”. Historyk czasów najnowszych jest jednak w sytuacji szczególnie trudnej, bowiem z uwagi na ilość źródeł stale musi dokonywać selekcji. Powstaje zatem pytanie: czy istnieją jakieś standardy? Jakie są procedury dokonywania selekcji wobec takiego ogromu dokumentów? Na podstawie własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że nie ma ich, że trzeba to robić „na nos”, że nigdy nie będziemy mieli pewności, czy nie pominęliśmy jakiegoś ważnego źródła i że w pewnym momencie należy zakończyć badanie z pełną świadomością, że pozostały jeszcze jakieś miejsca, w których mogło być coś ważnego lub ciekawego. Musimy mieć świadomość, że pozostawiamy poza naszą wiedzą fragmenty źródłowe zarówno takie, które odrzuciliśmy, jak i takie, do których nie dotarliśmy.

W tym kontekście istnieje jeszcze pewien problem ze źródłami, a mianowicie świadomość, że są źródła, o których wiemy, że istnieją (lub są bardzo poważne przesłanki na to wskazujące), do których jednak nie uzyskaliśmy dostępu i nie mamy sposobu, aby ocenić, czy są one ważne, czy nie; czy zmuszałyby do zmiany narracji lub interpretacji, czy też nic by nowego do nich nie wniosły. Zatem prócz źródeł, które sami postanowiliśmy odrzucić, są te, do których nas nie dopuszczono. Istnieją różne procedury udostępniania źródeł. Jeszcze raz odwołam się do książki o Świątlu. W zasadzie nie ma ona końca, to jest życiorys Świątły nie ma końca. Nawet nie znam dokładnej, w pełni wiarygodnej, daty jego śmierci⁸. Nie wiem nic o prawdopodobnie trzydziestu ostatnich latach jego życia. Ponieważ żył co najmniej siedemdziesiąt lat, więc chodzi o trzy siódme jego życia. Nie wiem, bowiem nie uzyskałem dostępu do dokumentów, które, jestem przekonany, istnieją. Centralna Agencja Wywiadowcza na pewno ma *dossier* Józefa Świątły z jego pobytu w Stanach Zjednoczonych, gdyż przebywał tam pod jej opieką i kontrolą. Zacytuję państwu jedną z odpowiedzi, którą dostałem: „Agencja nie potwierdza, ani nie zaprzecza, że posiada lub nie posiada dokumenty, które Pana interesują”. Odmówili więc nawet odpowiedzi, czy posiadają interesujące mnie źródła. Problem niedostępności istniejących źródeł jest zatem poważny. Często stanowi on pułapkę, gdyż mając świadomość, że istnieją ważne dokumenty, do których nie możemy dotrzeć, zajmujemy się nieraz sprawami drugo- czy trzeciorzędnych, albo wręcz rezygnujemy z badania.

Następna sprawa, o której chciałem powiedzieć, jest typowa dla wszystkich kategorii historyków, a zwłaszcza tych, którzy mają do czynienia ze źró-

⁸ W 2010 roku Departament Sprawiedliwości oficjalnie poinformował, że Światło zmarł 2 września 1994 roku w Stanach Zjednoczonych.

dłem pisanym. Chodzi o problem: prawdziwe czy fałszywe? Ogólna wytyczna jest znana – dokument może być autentyczny, to znaczy powstał w epoce, której dotyczy, wydała go kancelaria, która jest oznaczana na dokumencie, ale informacje, które zawiera są nieprawdziwe: dokument jest autentyczny, natomiast informacje są fałszywe. Czy dlatego, że ten, kto tworzył dokument, zapisywał, rozmyślnie fałszował informacje, czy po prostu takie otrzymał? Sytuacja taka jest dość częsta w dyskusjach – czy raczej kłótniach – o lustrację, o dokumenty bezpieki. Dokumenty autentyczne: tak. Informacje w nim zawarte: trzeba sprawdzić, bo nie wiadomo, czy są prawdziwe.

Przyniosłem Państwu dwie identyczne tabelki z wynikami referendum ludowego z 30 czerwca 1946 roku, które znajdują się w Archiwum Akt Nowych. Tabelki (formularze) są takie same, ten sam skryba je wypełnił, natomiast wyniki są zupełnie inne. Na jednej tabelce są tak zwane wyniki oficjalne, te które ogłoszono 11 lipca, na drugiej zaś te, które udało się konfidencjonalnie zebrać kierownictwu PPR i które zawierają wyniki mniej więcej faktyczne. Zebrano je zapewne dlatego, że chciano wiedzieć, jak kształtują się nastroje społeczne. No i mamy problem. Przeglądając w archiwum jakąś teczkę, trafiamy na takie dwa dokumenty, wyobraźmy sobie, że leżą w niej jeden za drugim. W jednym czytamy, że na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68%, a w drugim, że 26,9%. Jak sprawdzić wiarygodność takich dokumentów? Z ich usytuowania wynika, że oba są prawdziwe. Powstały w czasie, do którego się odnoszą, w tej samej kancelarii, prawdopodobnie na tym samym biurku i zostały wypisane przez tę samą osobę (sprawdzić to może grafolog). Musimy się więc oprzeć na krytyce wewnętrznej, zewnętrznej i wykonać badanie kontekstu. Dokumenty te leżą wśród innych materiałów, takich jak odręczne notatki z przekazywanych telefonicznie informacji o przebiegu głosowania, o frekwencji i częściowych wynikach z poszczególnych komisji liczących głosy czy z okręgów. Informacje te jednoznacznie wskazują, iż ogólną tendencją było głosowanie na „nie”, na niektórych dokumentach są wręcz wpisane korekty na „tak”. Kontekst więc wskazuje, że prawdziwa – a raczej: prawdziwsza – jest tabela zawierająca wyniki odmienne od tych, które ogłoszono. W innych zespołach aktowych znajdujemy potwierdzenia ze strony „wysoko postawionych” osób, że faktyczne wyniki znacznie odbiegały od oficjalnych. Ale gdyby nie było notatek z informacji nadsyłanych do KC PPR, ani dodatkowych potwierdzeń? Jest to może skrajny przypadek, że dwa dokumenty z pewnością autentyczne i pod względem kancelaryjnym w zasadzie identycznie, są całkowicie rozbieżne, ale przedstawia on istotny problem: różnicy pomiędzy prawdą a autentycznością. Na pocieszenie można powiedzieć, że np. mediewiści mają jeszcze większe problemy, bowiem to nie Gomułka z Bierutem wymyślili fałszowanie dokumentów. Zapewne były fałszowane od zarania istnienia tej formy przekazu. Podejrzewam, że dotyczy to także tabliczek klinowych. Sprawa ta przypomina o ból głowy wszystkich historyków, w tym oczywiście także historyków dziejów najnowszych.

Kiedyś proszono mnie, żebym napisał artykuł o odkrywaniu przeszłości, więc opisałem, jak dochodziłem do wiedzy o wspomnianym już referendum ludowym. Kiedy ono się odbywało, 30 czerwca 1946 roku, miałem sie-

dem i pół roku, chodziłem do drugiej klasy szkoły powszechnej, a więc w zasadzie powinienem coś pamiętać. Iluż mamy ludzi, którzy mieli siedem i pół roku w czasie powstania warszawskiego i potrafią godzinami opowiadać, jak w tym powstaniu było. A ja kompletnie nic nie pamiętam. Mieszkalem w nie-małym mieście, musiały tam zatem być jakieś afisze, hasła, mityngi. Chodziłem do szkoły, w szkole zapewne też były jakieś informacje. A ja nic... kompletnie. Dla mnie nie było żadnego referendum. W mojej pamięci nie ma referendum. W szkole aż do matury panowała na ten temat głucha cisza. Kiedy studiowałem, wykład kursowy z historii kończył się faktycznie na pierwszej wojnie światowej. Na ostatnim roku (magisterskim) był jednak dodatkowy cykl wykładów z historii PRL, podczas którego któryś z wykładowców wspominał o referendum ludowym i podał wyniki głosowania. Oczywiście te oficjalnie ogłoszone. To była pierwsza informacja, że coś takiego w ogóle było. Dalej opisywałem w tym artykule, jak czytając podręczniki, monografie, wydawnictwa emigracyjne itd. nabywałem wiedzę o referendum. Dowiedziałem się, że było sfalszowane, ale nie byłem w stanie powiedzieć jak i na ile. W tej literaturze podawano różne dane dotyczące zakresu fałszerstw, jednak na ogół nie trzymały one standardów badawczych. Na przykład Polskie Stronnictwo Ludowe opublikowało po referendum protest, przedstawiając wyniki na podstawie informacji z tych komisji, w których delegaci PSL uczestniczyli, jakie były w nich wyniki i ekstrapolując je na całą Polskę. Co, oczywiście, jest nieprawomocne, gdyż mężowie zaufania PSL zostali dopuszczeni do nielicznych komisji. Po 1989 roku, gdy otwierano archiwa i zaczęto – także w tygodnikach, a nawet dziennikach – publikować dokumenty lub jakieś fragmentaryczne ich omówienia, trafiłem na ślad istnienia materiałów (w tzw. szafie Bieruta, czyli ongiś supertajnej części archiwum KC PZPR) dotyczących przebiegu referendum. Zaczęło się szperanie, w wyniku którego znalazłem wspomniane już tabelki oraz różne notatki i dokumenty PSL, z których wybór opublikowałem. Jakis czas później pewien rosyjski historyk, który znał dokumenty NKWD dotyczące fałszowania wyników referendum – gdyż specjaliści z tej „firmy” uczestniczyli w procederze – napisał artykuł i opublikował go w Polsce. Taka była moja historia „odkrywania” tego referendum.

Mówię o tym, gdyż warto przypominać, że najzdrowsze jest podjęcie takiego tematu, który zaciekawia. Nie szperałbym w Archiwum Akt Nowych, gdyby nie to, że referendum mnie zafrapowało. Wiele wskazywało na to, że było sfalszowane, nie wiedziałem jak i byłem tego po prostu ciekaw, a przecież mógłbym poczekać, aż ktoś rzecz zbada i do tego czasu zadowalać się fragmentarycznymi danymi.

I wreszcie na koniec, rzecz chyba najtrudniejsza. Otóż historyk to zawód; jest się badaczem, coś się poznaje, opisuje, przedstawia. Historyk jest jednak także uczestnikiem życia publicznego i będąc obywatelem jakiegoś kraju jest nieuchronnie wciągany w historię traktowaną jako instrument polityki. Tu, w Poznaniu, istnieje Instytut Zachodni i chyba można powiedzieć, że historiografia poznańska przez wiele lat bazowała na przekonaniu, że należy udowodnić, iż ziemie włączone do Polski po drugiej wojnie światowej są ziemiami „odzyskanymi”, a nie „uzyskanymi”. We Wrocławiu powołano Zakład Geo-

grafii Historycznej Ziem Zachodnich, jako część Instytutu Historii PAN. Ale znaczna część tych historyków, którzy go tworzyli, była ze Lwowa i pewnie chętniej stworzyliby Zakład Geografii Historycznej Ziem Wschodnich, które lepiej – także z własnych badań – znali. Zapotrzebowanie jednak było inne. Badania nad historią stosunków polsko-niemieckich czy Ziem Zachodnich podejmowali nie politycy, ale zawodowi historycy, często o wysokiej pozycji naukowej, z ogromnym dorobkiem, którzy wchodzili w pewien, można powiedzieć, „układ”. Czasami powody mogły być przyziemne: na badania nad Nadodrzem dostaniemy pieniądze, a na badania nad Ziemią Nadniemeńską nikt nie będzie płacił. Po prostu – żeby uprawiać historię, trzeba ją uprawiać tam, gdzie można z niej żyć. Mówię to dosyć brutalnie, ale tak jest.

Historyk powinien być zatem przygotowany na to, że niezależnie od tego, czy zajmuje się starożytnym Rzymem, czy średniowieczną Europą Środkową, czy historią Polski komunistycznej, może być wezwany, żeby wziąć udział w „czynnie obywatelskim” i ukierunkować swoje badania tak, by współgrały z zapotrzebowaniem ideowym, politycznym, patriotycznym (czy antypatriotycznym). Historyk zajmujący się dziejami najnowszymi jest, oczywiście, najczęściej traktowany jako narzędzie w rękach polityków. Były jednak takie lata – szczególnie w początkach PRL – że to głównie mediewiści byli narzędziem w rękach polityków. Z reguły wykonywali swoją robotę solidnie, zgodnie z wymogami warsztatu, ale była ona wykorzystywana w najróżniejszy sposób w polityce czy to zewnętrznej, czy wewnętrznej. Jest to w zasadzie nieuniknione. Każdy historyk musi się liczyć z tym, że może nadejść taka chwila, kiedy stanie przed alternatywą: podejmę jakieś badania, bo są one potrzebne rządzącym, narodowi czy państwu, albo nie podejmę tego rodzaju użytkowych badań; będę robić to, co mi się podoba, ale wtedy możliwości badawcze mogą być mniejsze i splendorów trudno oczekiwać.

Historyk zatem występuje nieraz jako legitymizator albo de-legitymizator. I tak w zasadzie może być, nawet wtedy, kiedy zakłada, że prowadzi „czyste” badania, bez świadomego włączania się w aktywność publiczną, narodową itd. Historyk może mieć czyste intencje, ale jego książkę ktoś może wykorzystać tak, jak jemu wygodniej, będzie cytował i powoływał się, by udowodnić tezę, która politykowi akurat w danym momencie jest potrzebna. Trochę tak, jak ze skrupułami Einsteina, Tollera czy Oppenheimera, prawda? Fizykiem atomowym się jest albo się nie jest. Jak się jest, to trzeba się liczyć z tym, że coś, co się bada, może być wykorzystane w sposób, w który się nie chce, by było wykorzystane. Żeby radykalnie odmówić udziału w tym, trzeba odmówić prowadzenia badań.

Mówię to świadomie i celowo w gronie adeptów i kandydatów do cechu historyków, by zdawali sobie sprawę z tych uwarunkowań i by potem nie udawali dziewicy, która biega z tabliczką „ofiara żołdackiej swawoli”. Z własnego doświadczenia wiem, i jest to dosyć przykre, że bywa się tak właśnie traktowanym. Wielu polityków traktuje historyków jak panienki lekkich obyczajów, które robią, co im się poleci. W zależności od tego, czy się trafi na sadystę, czy na masochistę, sposób wykorzystania będzie inny, ale cel jest ten sam.

Pewnie wystraszyłem nieco tych, którzy się jeszcze nie zajęli historią najnowszą. Jednak choć kryje się za jej uprawianiem wiele niebezpieczeństw,

trzeba też powiedzieć, że jest to historia bardzo wciągająca. W pewnym sensie wciągające mogą być też wymienione niebezpieczeństwa: to, że w związku z uprawianiem tego zawodu nieraz trzeba podejmować decyzje o charakterze życiowym, że trzeba powiedzieć „nie”, kiedy ma się głębokie przekonania, że powinno się odmówić. Generalnie jednak rzecz biorąc, wszyscy jesteśmy historykami: i ci od czasów najdawniejszych, i ci od czasów współczesnych. Niektórzy moi koledzy mediewiści patrzą na mnie z lekką niechęcią, ja z kolei czatuję na moment, kiedy oni się wypowiadają w jakichś sprawach z zakresu historii najnowszej. Np. jeden z najlepszych w Polsce znawców wieków średnich, Karol Modzelewski, którego znam od niepamiętnych czasów i bardzo lubię i bardzo wysoko cenię, wypowiadał się ostatnio na temat Okrągłego Stołu czy procedur безпеki i choć powinien to robić jako świadek wydarzeń, w „stopce” jego artykułów widnieje nieodmiennie „profesor historii”. Mam nieraz ochotę wygarnąć mu, że zajmuje się nie tym, na czym się jako historyk zna. Zapewniam jednocześnie, że nigdy nie będę zabierał głosu w kwestii, czym zgromadzenie plemienne Słowian połabskich różniło się od zgromadzenia plemiennego Łużyczan. Historyk dziejów najnowszych i to niezależnie od tego, czy zajmuje się historią polityczną, czy społeczną, jest skazany na dwuznaczne uśmieszki kolegów zajmujących się epokami bardziej bezpiecznymi, z punktu widzenia bieżącego życia publicznego. Tak więc straszę, zachęcam. Straszę, że bycie historykiem dziejów najnowszych jest trudne, często niewdzięczne, ale zachęcam, bo epoka jest bardzo ciekawa.